

Barbara Grąziewicz-Chludzińska

SPOŁECZNI OPIEKUNOWIE ZABYTKÓW

Zainteresowanie przeszłością i zbieranie pamiątek towarzyszy człowiekowi od niepamiętnych czasów. W Polsce – w czasach rozbiorów – było sprawą prywatną i wręcz obowiązkiem patriotycznym. W 1873 roku fascynaci historii i krajoznawstwa utworzyli Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, w 1906 Polskie Towarzystwo Krajoznawcze. Doświadczenia wówczas zdobyte umożliwiły w niepodległej już Polsce zorganizowanie państwowej opieki nad zabytkami historycznymi. Po II wojnie światowej, w 1950 roku, obie organizacje połączyły się w Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze, którego ważnym zadaniem było gromadzenie i ochrona dziedzictwa kulturowego kraju. Powstała sieć muzeów społecznych, mnożyły się formy działalności wolontariackiej wszystkich warstw społecznych. W 1962 roku Ministerstwo Kultury i Sztuki powierzyło Polskiemu Towarzystwu Turystyczno-Krajoznawczemu wyłączność w zakresie organizowania społecznej opieki nad pamiątkami przeszłości. Przy Zarządzie Głównym PTTK powołano Komisję Opieki nad Zabytkami, następnie podobne ciała na szczeblu wojewódzkim i oddziałowym. Zajmowały się ewidencją i szkoleniem społecznych opiekunów, organizacją zjazdów dla wymiany informacji i doświadczeń, publikacją wydawnictw, wspierały działalność muzeów regionalnych i społecznych, ustanowiono też wówczas odznakę za opiekę nad zabytkami.

Rola społecznego opiekuna nad zabytkiem była – według regulaminu – niebagatelna:

> *a) stałe doglądanie zabytku* […], *tak zewnątrz jak i jego wnętrza,*
> *b) zapobieganie i przeciwdziałanie uszkodzeniu lub niszczeniu przedmiotu opieki* […],
> *c) występowanie do miejscowych władz administracji państwowej z inicjatywą w przedmiocie:*
> *– aktywizacji na cele społeczno-kulturalne i inne zabytku nieużytkowanego,*
> *– odbudowy, remontu i właściwego utrzymania zabytku,*
> *– zmiany użytkownika zabytku, jeżeli użytkownik dotychczasowy w sposób wyraźnie rażący zaniedbuje zabytek i powoduje jego zniszczenie,*
> *d) inicjowanie czynów społecznych, zmierzających do poprawienia stanu zabytku, uporządkowania jego otoczenia itp.,*
> *e) inicjowanie różnego rodzaju działalności popularyzacyjnej, zwłaszcza w miejscowym społeczeństwie, wiedzy o zabytkach i ich roli w kulturze oraz krzewieniu idei ochrony zabytków, jako kulturalnego dziedzictwa narodu.*
> […]

Ponadto:

> *…dla właściwego sprawowania swych społecznych obowiązków opiekun powinien znać treść stosownych przepisów prawnych oraz dążyć* […] *przez samokształcenie do poznania historii i wartości zabytku powierzonego jego opiece, historii i zabytków miejscowości oraz bliskiego regionu, jak również do rozszerzenia swej wiedzy z zakresu kulturalnych i ekonomicznych walorów zabytków w ogóle, a zabytku regionu w szczególności.*

Do tych wszystkich działań uprawniała – i zobowiązywała! – legitymacja Społecznego Opiekuna Zabytków, z odznaką organizacyjną. W listopadzie 1963 roku Okręgowa Komisja Opieki nad Zabytkami przy PTTK w Olsztynie mianowała pierwszych społecznych opiekunów na teren powiatu węgorzewskiego: nauczyciela Stefana Nierodę i księgową Stanisławę Kaczyńską. Nierodzie przypisano ruiny zamku i inne zabytki historyczne w Węgorzewie, Kaczyńska miała opiekować się pałacem w Łęgwarowie, gdzie pracowała. W 1964 roku opiekunem pałacu w Rudziszkach został Zbigniew Jucewicz z Giżycka. Pałacem w Klimkach zajął się Szczepan Drab, który pracował jako księgowy w tamtejszym PGR, a pałacem w Sztynorcie księgowy Józef Borowski, w 1965 roku.

W kwietniu 1968 roku wzmiankowana Komisja Opieki nad Zabytkami zwróciła się do przewodniczącego Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Węgorzewie Stanisława Wiszniewskiego:

> *z uprzejmą prośbą o zainteresowanie aktywistów PTTK społeczną opieką zabytków na terenie miasta i powiatu Węgorzewa oraz powołanie Oddziałowej Komisji Opieki nad Zabytkami.*

Przysłano stosowne materiały i druki deklaracji dla kandydatów na społecznych opiekunów oraz *wykaz opiekunów, którzy zostali powołani w latach poprzednich na teren powiatu węgorzewskiego, z którymi w miarę możliwości jest możliwe na-wiązanie kontaktu.*

Stanisław Wiszniewski, zwany popularnie „Merem", pełnił jednocześnie funkcję prezesa Oddziału PTTK w Węgorzewie. Zakrzątnął się koło sprawy, założył przy Oddziale koło społecznych opiekunów zabytków i w lutym następnego roku zameldował o wykonaniu zadania[1].

> *Koło ukonstytuowało się. Mariana Basiela wybrano na przewodniczącego, Piotra Muzyczuka na sekretarza; członkami zarządu zostali: Stanisław Okrągły, Lucjan Chrzanowski, Michał Płatosz i Stanisław Warzywoda. Dołączył do nich Kazimierz Lichota.*

Pałac w Sztynorcie i otaczający go park przejął po poprzedniku Eugeniusz Osinkowski, Lucjan Chrzanowski otrzymał pod opiekę kościół parafialny Świętego Piotra i Pawła, Kazimierz Lichota miał troszczyć się o zabytki przyrody na wyspie Upałty, Piotr Muzyczuk o zamek węgorzewski, Stanisław Okrągły przejął klasycystyczny pałac w Łęgwarowie, a Michał Płatosz XIX-wieczny pałac w Rudziszkach.

Wydawało się wówczas, że reprezentanci władz lub ważnych instytucji publicznych będą najskuteczniej zabiegać o dobro powierzonych sobie zabytków. Życie samo skorygowało takie mniemania. Mimo najlepszych nieraz chęci kierownicy i księgowi, wśród rozlicznych obowiązków służbowych, rzadko znajdowali czas na absorbująca pracę społeczną. Niektórzy zrezygnowali z tej powinności, zastąpili ich nowi. Warto zwrócić uwagę, że nie tylko społeczni opiekunowie troszczyli się o zabytki. Ustawa O ochronie zabytków nakładała na właścicieli takowych obowiązek dbania o powierzone im majątki. Dużo zależało od dyrektorów, umiejętnego wykorzystania istniejących przepisów prawnych i trendów z zakresu ochrony dziedzictwa kulturowego. Jako przykład może tu posłużyć Artur Górski (społeczny opiekun nad zabytkami PGR), który w biuletynie informacyjnym PWRN za rok 1968 z uznaniem pisze remontach kapitalnych pałaców, przeprowadzonych w powiecie węgorzewskim w Klimkach, Brożówce i Dąbrówce Małej.

1 Pismo ZO PTTK w Węgorzewie z 19 lutego1969.

W ciągu kilku miesięcy grono ochotników powiększyło się do 20 osób. W kwietniu 1970 roku koło społecznych opiekunów zabytków przekształcono w Komisję Opieki nad Zabytkami przy węgorzewskim Oddziale Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego. Na przewodniczącego obrano technika budowlanego Mariana Basiela, mnie [Barbara Chludzińska] powierzono obowiązki sekretarza. Kierowniczka Powiatowego Domu Kultury Irena Czaporowska zaoferowała swoją placówkę na siedzibę KOZ. Czekała nas wielka praca. Jednym z najpilniejszych zadań Komisji było zorganizowanie fachowego szkolenia dla społecznych opiekunów zabytków. Mimo różnych przeciwności, dzięki pomocy ludzi z olsztyńskiej Okręgowej Komisji, udało się. Wysłaliśmy 32 zawiadomienia do kandydatów, opiekunów oraz do innych osób zainteresowanych ochroną zabytków. 13 grudnia przybyło zaledwie 13 osób, ponieważ w dniu szkolenia większość zaproszonych, pełniących w owym czasie funkcję aktywistów społeczno-politycznych, musiała wyjechać w teren w związku z podwyżką cen (mieli obowiązek tłumaczyć współobywatelom konieczność i słuszność decyzji rządowych).

Wykłady prowadzili pracownicy olsztyńskiego Urzędu Konserwatorskiego: Tadeusz Piaskowski i Tadeusz Kufel oraz Henryk Tumasz z Okręgowej Komisji Opieki nad Zabytkami PTTK. Zajęcia okazały się bardzo interesujące. Słuchacze proponowali, by organizować takie szkolenia cyklicznie.

Zebrała się już spora grupa społecznych opiekunów zabytków: Klotyld Atamski, mąż klubowej Heleny, miał pod opieką kościół w Budrach; Józef Bzdel, rolnik z Popiołów, tamtejszy młyn z XVIII/XIX wieku; Barbara Dwilewicz, przedszkolanka z Pozezdrza, pałac w Dąbrówce Nowej; technik budowlany Władysław Gładkowski, kościół Kruklankach; Ryszard Gotowski, technik chemik, kościół w Radziejach; Barbara Grąziewicz, instruktor PDK, kościół neogotycki w Olszewie i pałac klasycystyczny w Więckach; nauczyciel Stanisław Kucharski, kuźnię w Rudziszkach; Piotr Mażul, architekt powiatowy, dwory w Mackach i Pniewie oraz zespół pałacowy w Rudziszkach; Aleksander Słoma, emerytowany pracownik PGR, kościół w Dąbrówce Nowej; Teodor Sus, sekretarz ZP ZMW, dworek z XVIII/XIX w Kruklankach; Kazimierz Tarasiewicz, instruktor PDK – pałac w Okowiźnie; Jadwiga Tressenberg, bibliotekarka w Kutach, ruiny tamtejszego kościoła z XVI wieku.

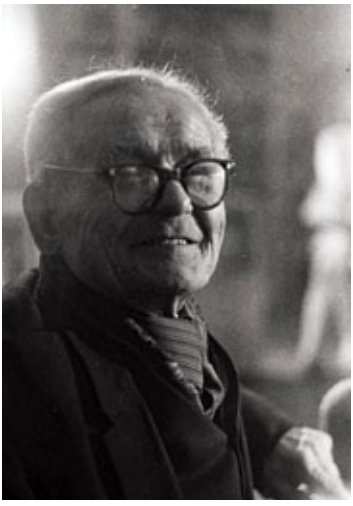
Świadomość konieczności ochrony pamiątek historycznych w regionie, „na własnym podwórku", była w tamtym czasie nikła. Pomału rosło jednak zainteresowanie, przybywało ochotników, nawet dwóch zbiorowych członków mieliśmy: klub „Tropieńce", który opiekował się kapliczką w Kalu (zwano ją też „kalskim słupem") oraz grupę młodzieżową w Soltmanach, która strzegła starego wiatraka i zabiegała o ochronę krajobrazu (kierowała nią młoda nauczycielka

Janina Fil). W niektórych szkołach zaczęto tworzyć izby pamięci. Placówki oświatowe miały w tej sprawie sugestie odgórne. W ślad za nimi szły oferty pomocy merytorycznej ze strony Powiatowego Domu Kultury i Oddziałowej Komisji Opieki nad Zabytkami. Szkołom łatwiej było dbać o lokalne dziedzictwo kulturowe, miały bazę, budżet i kadrę nauczycielską. Gorzej było z troską o inne zabytki. Społeczni opiekunowie częstokroć nie mieli przebicia, musieli borykać się z obojętnością i niezrozumieniem właścicieli obiektów, uświadamiać i mobilizować środowiska, walczyć z urzędami i… szukać finansów. Bywały syzyfowe wysiłki, niektórzy dawali za wygraną. Pojawiły się też i sukcesy, jeśli udało się pozyskać pomoc zakładów pracy lub urzędów państwowych.

I ludzie, i zabytki mają swoje historie. O niektórych opowiem.

Kościół i pałac w Dąbrówce Nowej

Wybudowany w pierwszej połowie XVIII wieku kościół, zdewastowany po zakończeniu działań wojennych w 1945 roku, przez jakiś czas był placówką rosyjskich pograniczników. Prawdopodobnie dlatego pominięto go podczas inwentaryzacji zabytków nieruchomych, którą państwowe służby konserwatorskie organizowały w latach 50. na Ziemiach Odzyskanych. Od kompletnego zapomnienia i zniszczenia uratował go Aleksander Słoma, pracownik PGR. Pochodził z Grodzieńszczyzny, przybył z rodziną do Dąbrówki, gdy granica polsko-radziecka odcięła jego gospodarstwo od Polski. Zatrudnił się jako cieśla i kowal, był „złotą rączką" do wszystkiego. Nie umiał pisać, ale był mądrym człowiekiem. Zadbał o wpisanie obiektu do rejestru zabytków architektury, zorganizował zbiórkę pieniędzy na pokrycie dachu i założenie nowej instalacji elektrycznej. Został mianowany jego społecznym opiekunem. Wykonywał w kościele rozmaite prace zabezpieczające, zbudował ołtarz, reperował sprzęty. Jednoczył ludzi i instytucje przy remoncie kapitalnym. Pilnował budynku i kluczy do niego. Dzięki jego staraniom kościół do dziś jest czynny jako filia kościoła parafialnego w Budrach. W ostatnich latach swojego życia stał się sławnym rzeźbiarzem ludowym, przybrał nazwisko Słomiński. Przed śmiercią zdążył jeszcze w 1973 roku kupić organy elektryczne do świątyni, za pieniądze uzyskane ze sprzedaży swoich rzeźb. Po jego śmierci odnowiono wnę-



1. Aleksander Słoma. Dzięki jego staraniom kościół do dziś jest czynny jako filia kościoła parafialnego w Budrach. Fot. Barbara Grąziewicz..

trze kościoła, co dobrze świadczyło o administratorze. Ale – niestety! – zamalowano wówczas zabytkową polichromię sklepienia. Na początku obecnego wieku obiekt znów wymagał remontu.

Proboszcz budrowskiej parafii ksiądz Józef Adamkiewicz zabiegał w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych o środki na ten cel. Miał sprzymierzeńców, węgorzewskich fachowców: Stanisław Soczewka zrobił kosztorys budowlany budynku, Andrzej Smołka kosztorys instalacji elektrycznej. Obaj – gratis. Członkowie Fundacji „Dziedzictwo nasze" oferowali zagospodarowanie wieży kościelnej na cele muzealne: historię kościoła i dawnego powiatu darkiejmskiego oraz dorobek miejscowych artystów ludowych. Gospodarz obiektu, proboszcz, był otwarty na te propozycje, służba konserwatorska także im sprzyjała. Bezskutecznie. Następca sędziwego proboszcza ksiądz Jarosław Baluta złożył wniosek do Kurii i do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Odmówiono. Czas płynął.

W 2019 roku w 45. rocznicę śmierci Aleksandra Słomińskiego mieszkańcy Dąbrówki, gmina Budry i Fundacja „Dziedzictwo nasze", rodzina i przyjaciele zgromadzeni w kościele, uroczyście i serdecznie wspominali niezwykłego człowieka, który ten przygraniczny obiekt uratował od zagłady, wprowadził do niego ludzi, dopóki żył, czuwał nad budynkiem.



2. Dąbrówka Nowa, kościół z pierwszej połowy XVIII wieku zdewastowany po zakończeniu działań wojennych w 1945 roku. Fot. Barbara Grąziewicz, początek lat 70. XX wieku.

Dzisiaj kościół wymaga pilnie kapitalnego remontu. To już alarm! Dach na wieży jest uszkodzony. Pani sołtys i mieszkańcy Dąbrówki dbają o posesję i przyległy cmentarz, ale nic więcej nie mogą zdziałać, a same porządki nie wystarczą.

W Dąbrówce Nowej znajduje się więcej cennych zabytków: cmentarz przykościelny, park dworski o kompozycji krajobrazowej i otoczony nim pałac klasycystyczny z drugiej połowy XIX wieku.



3. Dąbrówka Nowa, pałac klasycystyczny z drugiej połowy XIX wieku. Fot. Barbara Grąziewicz-Chludzińska, 1972.

Po zorganizowaniu sieci państwowych gospodarstw rolnych umieszczono w nim biura Zakładu Dąbrówka Nowa, który należał do klucza w Ołowniku. W pałacu mieściło się biuro Zakładu, świetlica, przedszkole i mieszkania pracownicze. Dyrektor klucza, dr inż. Eugeniusz Kusior, wystarał się o fundusze i w 1972 roku przeprowadzono kapitalny remont pałacu, przywracając mu – pod okiem konserwatorów – dawny wygląd. Wnętrza zaadaptowano do aktualnych potrzeb. Dyrektor sprowadził kilku studentów Akademii Sztuk Pięknych z Krakowa i zlecił im opracowanie wystroju pomieszczeń. Serdecznie ich ugościł, chłopcy pracowali jak w amoku. Świetlicę wymalowali całą na czerwono, z czerwonymi zasłonami na oknach, wrażenie było… mocne. Drugie pomieszczenie otrzymało wystrój zielony. Świetlicę, przedszkole i biura wyposażono w nowe meble. W korytarzu na ścianie zamontowano duży metalowy kontur Polski. Na tej niezwykłej mapie zaznaczone były dwa punkty: Warszawa i Dąbrówka Nowa!

Odnowiony pałac mógł przyjmować gości. W tym czasie dużo się działo w pracy kulturalnej państwowych gospodarstw rolnych województwa olsztyńskiego. W maju 1974 roku w Dąbrowce Nowej odbyło się pamiętne spotkanie pracowników WPGR Ołownik z luminarzami kultury: dziennikarzami, pisarzami, plastykami, aktorami, muzykami, śpiewakami. Koncerty, przedstawienia, rozmowy, wystawy, prelekcja, licytacja dzieł sztuki. Ktoś z miejscowych, oszołomiony bogatym programem imprezy, zwierzył się: *Nigdy nie widziałem tyle kultury naraz!*

Przyjezdny żurnalista, równie podekscytowany, podszedł z mikrofonem do dyrektora Kusiora:

– Jak wy tu żyjecie, na krańcu Polski?

– Na jakim krańcu?! Od nas Polska się zaczyna!

Prawda. Ale „ci z centrali" o tym nie wiedzieli. Przez kilka lat nad bramą wjazdową Gospodarstwa transparent obwieszczał: OD NAS POLSKA SIĘ ZACZYNA.

Miała Dąbrówka swój dobry czas, miała sensownych gospodarzy. Minęło niewiele lat. Wprowadzono zmiany organizacyjne w pegeerach, a w 1993 roku Państwowe Gospodarstwa Rolne przestały istnieć. Zamiast je zreformować poniszczono, co tylko się dało. Pałac, sprzedany prywatnemu nabywcy, rozszabrowany do cna, straszy oczodołami okien, w pustych pokojach gwiżdże wiatr. Fragmenty dachu, szczerbate ściany… Budynek się sypie. Postępującą degradację uwieczniają na zdjęciach przyjeżdżający co roku z Niemiec dawni mieszkańcy majątku Dombrowken… Ktoś interesuje się ruiną… Wójt Buder ma nadzieję…

Kościół w Kutach

Kościół w Kutach został spalony w 1945 roku. Świątynia ewangelicka z 400-letnią historią była ruiną.



4. Kuty, kościół po odbudowie. Fot. Barbara Grąziewicz, 2015.

Kilka artefaktów wygrzebanych z gruzowiska przeniesiono do Izby Pamiątek: barokową rzeźbę Madonny z Dzieciątkiem, krucyfiks, fragmenty świecznika, kawałek donicy… Jadwiga Tressenbergowa, nauczycielka i bibliotekarka, odkąd

zamieszkała w Kutach, roztoczyła opiekę nad resztkami obiektu. Opiekę moralną i intelektualną. Edukowała środowisko w zakresie kultury, uczyła szacunku dla przeszłości; mówiła o historii regionu, o tradycjach, wierze, języku, o wszystkim. Jednoczyła ludzi w pracy nad ochroną rzeczy minionych.



5. Kuty, ruiny kościoła. Fot. z archiwum Barbary Grąziewicz-Chludzińskiej, lata 70. XX wieku.

Ruiny kościoła stanowiły swoistą pomoc naukową. Legitymacja społecznego opiekuna zabytku była tylko potwierdzeniem tego, co robiła od lat. Prace historyczne Emilii Sukertowej-Biedrawiny utwierdziły ją w przekonaniu, że w ruinach kościelnych muszą być ukryte dokumenty parafialne. Poszukiwała ich wytrwale razem z młodzieżą.

Wiosną 1970 roku przypadkiem znaleziono upragniony skarb. Podczas rozbiórki starej przybudówki przy budynku szkolnym (który ongiś był domem parafialnym) posypały się ze stropu papiery, częściowo powiązane sznurkami. Znalezisko nieocenione – dokumenty z lat 1730–1944, pisane po polsku, po niemiecku, po łacinie. Były tam fragmenty ksiąg kościelnych i szkolnych, kwity podatkowe, reskrypty, papiery sądowe, korespondencja proboszczów, rękopisy Pisanskiego i Boreckiego, przepisy prawne i handlowe. Piszę z pamięci, ta wyliczanka nie jest więc kompletna. Fatalnym zbiegiem okoliczności była tego dnia deszczowa pogoda, z wyburzonej powały sypnęła się glina i sieczka, papiery rozmiotło w różne strony. Kiedy Jadwiga zadzwoniła, zebraliśmy się w kilkoro: pracownicy PDK i „Tropieńce", pojechaliśmy nyską na ratunek. Przez kilka godzin, do zmroku, wybieraliśmy mozolnie spośród glinianego gruzu nasiąknięte deszczem karteluszki, z grubsza tylko je otrząsając, potem rozkładaliśmy w Izbie do suszenia. Następnego dnia tak samo. Wszyscy bardzo przeżywaliśmy to wydarzenie. Wkrótce pojechałam na sesję egzaminacyjną, nie było mnie trzy tygodnie. Po powrocie dowiedziałam się, że – na skutek notatki w „Gazecie

Olsztyńskiej" – zjawili się w Kutach przedstawiciele olsztyńskiego Archiwum Wojewódzkiego i pośpiesznie „skarb" zarekwirowali. Zostawili trochę niewiele znaczących papierków i te były później w Izbie eksponowane. Nasz żal i gorycz nie miały granic. Pracownicy Archiwum według przepisów mieli prawo do rekwizycji, ale załatwili to – mówiąc delikatnie – nieładnie, nie potrafili zachować się odpowiednio wobec miejscowej społeczności. Po prostu – zabrali, kwitując odbiór 8,5 kg starodruków! Tak jakby kwitowali ziemniaki… Pojechałam w tej sprawie do dyrektora Grygiera, chciałam mu się poskarżyć, dostać chociażby pobieżny wykaz zarekwirowanych dokumentów, ale nie umiałam z nim rozmawiać, on sobie nie życzył. W kronice Izby była na okoliczność tego wydarzenia spisana lakoniczna notatka, w miarę dyplomatycznie sformułowana. Jadwiga wierzyła, ba – była przekonana! – że to nie całość kuckiego archiwum, że musi być dalszy ciąg.

Władzom diecezji olsztyńskiej udało się uzyskać zgodę administracji państwowej na odbudowę kościoła. To wielkie zadanie poruczono wiosną 1973 roku księdzu Czesławowi Gizie. Bibliotekarka, która była w stałym kontakcie ze służbami konserwatorskimi, i budowniczy kościoła szybko znaleźli wspólny język. On obiecał pomoc w szukaniu dokumentów, ona pisała kronikę odbudowy kościoła. Ksiądz sprowadził ekipę górali wyspecjalizowanych w robotach budowlanych, pięknie pracowali.



6. Kuty, świątynia odzyskała dawny blask. Fot. Barbara Grązieicz-Chludzińska, 2022.

Parafianie pomagali w odbudowie: usuwali gruz, wozili końmi drewno do tartaku… Restaurację zabytku ukończono w następnym roku, ale już w grudniu ksiądz Giza odprawił pierwszą pasterkę. Świątynia – jak donosiły media – odzyskała dawny blask. Do wnętrza powróciły przedmioty przechowywane z pietyzmem w Izbie Pamiątek. Budowniczy kościoła miał ponoć nadzieję,

że pozostanie w urokliwych Kutach, ale nie było mu to pisane. Zwierzchność miała dla niego nowe zadania: odbudowę XVI-wiecznego kościoła w Grądkach pod Elblągiem, potem remont kościoła w Rucianem-Nidzie, wreszcie budowę nowego kościoła w mieście. Tam też zorganizował parafię pod wezwaniem Trójcy Świętej, mianowano go proboszczem (1989–2005). Pracował, pracował… Cieszył się szacunkiem parafian i zaufaniem zwierzchników. Pełnił funkcję dziekana dekanatu Świętego Huberta w Piszu. Angażował się w sprawy społeczne, pomagał ludziom. Był kapelanem Związku Represjonowanych Politycznie Żołnierzy Górników. Zmarł 25 stycznia 2010 roku w Olsztynie. Spoczął na cmentarzu w Rucianem-Nidzie.

> *Cala parafia przybyła, by pożegnać wieloletniego proboszcza. Na uroczystość pogrzebową przybyło wiele delegacji, między innymi samorządowców z gminy, delegacje ze szkół oraz delegacja represjonowanych żołnierzy górników.*

Relację internetową potwierdzają załączone zdjęcia i pamięć ludzi.

Minęło lat niewiele. Na cmentarzu przykościelnym w Kutach urzędujący wówczas proboszcz kazał zniszczyć stare groby. Wyrwano żeliwne krzyże z inskrypcjami. Na rozpaczliwą interwencję Jadwigi Tressenbergowej zadziwiony duchowny powiedział: *Przecież to byli pastorzy…*



7. Kuty, cmentarz przykościelny. Fot. Barbara Grąziewicz-Chludzińska, 2022.

Przełom wieków nie był łaskawy dla Kut. Po kolejnej reorganizacji administracyjnej wieś włączona do gminy Pozezdrze, utraciła ważne do niedawna instytucje: urząd gminny, pocztę, Klub Rolnika, Izbę Regionalną… Po odejściu Jadwigi Tressenbergowej na emeryturę zaproponowałam, żeby eksponaty przekazać w depozyt Muzeum w Węgorzewie. Bibliotekarka miała obiekcje,

że to byłoby nie w porządku wobec miejscowej społeczności, która tyle serca i dobrej woli włożyła w istnienie i funkcjonowanie Izby. Jasne. Nie nalegałam. Rzadko tam zaglądałam, pochłonęły mnie sprawy młodej placówki węgorzewskiej.

Kiedy przyjechałam po roku odwiedzić swoją przyjaciółkę, Izby już nie było. Zamieniono ją na sklepik spożywczy, na zapleczu w kącie utkwiły pozostałe z kolekcji eksponaty: żarna, pralka, parę drobiazgów gospodarczych, spódnica łemkowska, garść papierów… Książek nie było. Pozwolono mi te resztki zabrać do Węgorzewa. Nikogo w Kutach nie interesowały… Schorowana twórczyni „złotej epoki" w dziejach urokliwej wioski jeszcze żyła, ale nie miała na nic wpływu. Uhonorowano ją patronatem szkoły w Pozezdrzu, wydano drukiem jej mazurskie opowieści, ale o Kutach już nikt nie pamiętał. Dostojna patronka była świadkiem upadku i zniszczenia wszystkiego, co z takim oddaniem przez wiele lat budowała. Wieś miała jednak jeszcze szkołę i bibliotekę, te także były już zagrożone. Mieszkańcy próbowali ratować swoje placówki, utworzono Stowarzyszenie Kulturalno-Oświatowe pod wodzą nauczyciela, Leszka Staneckiego. Pedagodzy zorganizowali szkolną izbę muzealną, komitet rodzicielski troszczył się o swoje dziatki. Rozważano możliwość utworzenia szkoły prywatnej. Niestety, Samorząd Gminy Pozezdrze zlikwidował Bibliotekę w Kutach i szkołę podstawową z 200-letnią historią. Budynki zdecydowano sprzedać, ale długo nie było na nie chętnych. Część stołów i krzesełka przekazano Muzeum Tradycji Kolejowej w Węgorzewie. Na szkolnym strychu leżały porąbane historyczne ławki. Zrobiliśmy zdjęcia starych pieców i niektórych elementów wystroju wnętrza. I to wszystko. Dokumentacja szkolna gdzieś przepadła.

Po paru latach ktoś kupił budynek poszkolny. Podczas prac remontowych natrafiono na archiwum dawnej parafii ewangelickiej w Kutach. Pół wieku po pierwszym odkryciu! Dawni mieszkańcy i Jadwiga mieli rację, szukając tego skarbu. Był umieszczony pod podłogą, na piętrze, gdzie wydawał się zabezpieczony przed nadejściem frontu. Robotnicy bezmyślnie wyszuflowali stare papierzyska razem z gruzem budowlanym, wrzucając je na stertę, do wywiezienia! Przypadkiem znalazł je mieszkający w okolicy Arkadiusz Malec, członek Stowarzyszenia „Wendrusz", które zajmuje się eksploracją historyczną ziemi węgorzewskiej. Natychmiast zakasał rękawy i zaczął wybierać zniszczone szczątki archiwalne; z pomocą pośpieszył przyjaciel Krzysztof Subocz. Akcja ratownicza trwała dwa dni. Zdążyli w ostatniej chwili, gruz niezwłocznie wywieziono. Nowa właścicielka budynku Katarzyna Gierałtowska z uznaniem odniosła się do poczynań „Wendrusza". Panowie zabezpieczyli znalezisko. Kiedy przynieśli je do siedziby Fundacji, oniemiałam!! Do działań ratowniczych włączyli się wolontariusze Olga Sachryń i Robert Sewruk, ostrożnie i mozolnie

czyszcząc dokumenty. Doprowadziliśmy je wspólnie do znośnego stanu, wstępnie uporządkowaliśmy, po czym Stowarzyszenie przekazało odnalezioną drugą część „skarbu kuckiego" do Archiwum Państwowego w Ełku, gdzie znalazły bezpieczne miejsce i fachową opiekę.

Druga część znaleziska – podobnie jak pierwsza – zawiera dokumenty parafii ewangelickiej w Kutach z lat 1726–1944. Są to starodruki i rękopisy: reskrypty, korespondencja, postylle, notatki osobiste, wykazy parafian, dokumenty szkolne, księgi finansowe, sądowe, czasopisma, dzienniki urzędowe, lektura dla dziatwy szkolnej… W języku niemieckim, polskim, po łacinie i greką pisane.

Kto wie, może to nie ostatnie słowo historii o tej niezwykłej miejscowości, rozpostartej między jeziorami – Czarną, Głęboką, Krzywą i Białą Kutą…

Wiatrak w Soltmanach

Po II wojnie światowej działało w powiecie węgorzewskim sześć wiatraków, w tym dwa w Soltmanach. W dawnych latach były niezbędne dla rolnictwa i przemysłu spożywczego. Pracowali w nich doświadczeni młynarze, od pokoleń specjalizujący się w tym fachu. Aż do ostatniej wojny. Właściciele soltmańskich wiatraków, Otto Müller i Gustaw Daneyko, podobnie jak większość autochtonów, musieli porzucić swoje domy i miejsca pracy. Organizująca się administracja nowego państwa – polskiego – przejmowała zakłady przemysłowe, warsztaty rzemieślnicze i usługowe. W Mazurskim Dzienniku Pełnomocnika Rządu Rzeczypospolitej Polskiej z 25 marca 1947 roku, w wykazie 10, zawierającym obiekty przejęte przez państwo, wpisano w Żółtkach (tak wówczas nazywano Soltmany):

> […] *33. Wiatrak; Żółtki, gm. Krukłanka, pow. Węgorzewo, przemiał zboża – wł. n/n*
> *34. Wiatrak; Żółtki, gm. Krukłanka, pow. Węgorzewo, przemiał zboża – wł. n/n*

Drewniane wiatraki – paltrak i holender – stały na sąsiadujących ze sobą pagórkach, niedaleko szosy. W ogólnopolskim „Spisie zabytków architektury" wydanym przez Ministerstwo Kultury i Sztuki w 1964 roku widnieją obydwa, ale już w podobnym opracowaniu z roku 1971 wymieniony jest tylko jeden: wiatrak holenderski drewniany, z przełomu XIX i XX wieku.

Drugi prawdopodobne rozebrano na opał. Ocalałemu groził podobny los. Ale szło nowe. Młoda „skrzydlata" nauczycielka miejscowej szkoły Janina Fil zorganizowała grupę miejscowej młodzieży, bywalców klubu „RUCH", do

opieki nad niszczejącym zabytkiem. Nie było to łatwe, troska o miejscowe dziedzictwo kulturowe obca była na ogół i organom władzy, i nowym mieszkańcom. Bardziej zorientowanymi byli nauczyciele – „skrzydlaci" – ci, którzy rozumieli więcej i chcieli więcej. Ich rola w środowiskach lokalnych była nie do przecenienia!

Młodzież w Soltmanach czuła się odpowiedzialna za swoja wioskę. Gromadka aktywistów pod wodzą nauczycielki strzegła bezpieczeństwa nadwyrężonego zabytku. Wydawał się bezpański, do niczego nie służył, a tyle materiału do palenia!

Wiatrak był w niezłym stanie. Miał spore ubytki, ale pozostałe drewno na ogół było zdrowe. Można było wyremontować go i zaadaptować na jakąś działalność.

Pojawił się problem. Prywatni rzemieślnicy nie mieli szans, państwo traktowało ich jak wrogi element. W tym czasie węgorzewska restauracja „Rusałka" prowadzona była przez kętrzyński oddział Przedsiębiorstwa Turystycznego „Warszawa-Olsztyn". Dyrektor tegoż przedsiębiorstwa, Maksymilian Ożarowski, zgodził się obejrzeć zabytek pod kątem zagospodarowania go na działalność turystyczno-gastronomiczną. Wizja lokalna wypadła pomyślnie, padł projekt zaadaptowania wiatraka na kawiarnię, która funkcjonowałaby w sezonie turystycznym. Potrzebne były – jak zawsze – ekspertyzy, wstępny kosztorys itd. Pierwszą opracował Marian Basiel, budowlaniec, przewodniczący komisji Opieki nad Zabytkami. Oczywiście społecznie. Pojawiła się nadzieja na uratowanie zabytku.



8. Soltmany (dawniej Żółtki), wiatrak holenderski drewniany, z przełomu XIX i XX wieku.
Fot. z archiwum Barbary Grąziewicz-Chludzińskiej, 2021.

Reforma administracji wprowadziła totalny chaos. Jedne instytucje rozwiązywano, inne powstawały, ludzie wędrowali za pracą, zmieniali adresy. Dokumenty zakładowe lądowały w archiwach (również reorganizowanych) lub na śmietniku. Projektowane przedsięwzięcia i inwestycje były nieaktualne. Wkrótce nastąpiła osławiona reforma Kuberskiego[2], którą wyprowadzono szkoły ze wsi.

Nikt już nie bronił starego wiatraka, nikomu nie był potrzebny. A materiał na opał sposobny… Konserwator wojewódzki w Suwałkach nawet nie chciał o nim słuchać, nie widział szans na podjęcie działań ratowniczych. Po paru latach przyjechał do Węgorzewa z informacją, że po wiatraku zostały kamienie i możemy je wziąć do Muzeum. Niestety, nie mogliśmy. Muzeum Regionalne nie dysponowało ani stosownymi pomieszczeniami, ani transportem, ani funduszami, a gminna administracja miała inne sprawy na głowie. Pozostały tylko zdjęcia dokumentujące postępującą degradację wiatraka. Czy tak musiało być?

Kuźnia w Rudziszkach

Należała do zespołu XVII-wiecznego pałacu, przebudowanego z początkiem XIX stulecia w stylu neobarokowym. Jednoizbowy budynek zbudowany na planie ośmioboku, z odkrytą więźbą dachową, z polepą zamiast podłogi i dużymi okami, służył jako oranżeria. Kiedy nastąpiła zmiana w jego użytkowaniu, trudno powiedzieć W latach 30. minionego stulecia użytkowany był jako kuźnia.



9. Rudziszki, kowal Stanisław Korzeniewski w kuźni we wrześniu 1946 roku. Fot. z archiwum Barbary Grąziewicz-Chludzińskiej.

We wrześniu 1946 roku obiekt zagospodarował Stanisław Korzeniewski, kowal z dziada pradziada. Przybył z Wileńszczyzny, z miejscowości Dukszty-Pijary

2 Jerzy Kuberski, minister oświaty i wychowania w l. 1972–1979. [przyp. red.].

w gminie mejszagolskiej. Wyposażenie pracowni przywiózł ze sobą: stare kowadło, *co swój głos dzwoniący ma*, duży *miech z dwoich krowinych skór* zrobiony, narzędzia kowalskie – wszystkie *osobistej* roboty majstra. Porządek w kuźni był wzorowy, każda rzecz miała swoje miejsce. Były też cenne pamiątki. Na białej ścianie pyszniła się… podkowa kasztanki marszałka Piłsudskiego. Pięknie ustrojona czerwoną wstążką i piórami indyczki, świadczyła o służbie w I Pułku Szwoleżerów. Młoda Armia Polska potrzebowała dobrych kowali. Pan Stanisław rzetelnie i z oddaniem pełnił swoją służbę. Marszalek w podziękowaniu za opiekę nad kasztanką ofiarował mu zegarek z osobistą dedykacją! Kowal kowalowi nierówny. Miał pan Korzeniewski swoją „specjalizację", robił podkowy „ortopedyczne" dla źrebiąt i cielaków. Nauczył się tego jeszcze w armii carskiej, w szkole dla podkuwaczy koni. Z pietyzmem przechowywał w drewnianym kuferku „Podręcznik podkuwacza" z tamtych czasów.

Opowieści kowala z Rudziszek można było słuchać godzinami. A i zaśpiewać lubił, zwłaszcza wojskowe piosenki. I zagrać… na kowadle. Postawny, silny, jedną ręką ująwszy dziesięciokilogramowy młot, wygrywał na kowadle „Jeszcze Polska nie zginęła" lub „Legiony to żołnierska nuta…", nie bacząc na swoje 75 lat. Uciechę mieli olsztyńscy radiowcy, gdy z Maryną Okęcką-Bromkową przyjechali nagrywać „prawdziwego kowala". Takiego muzykanta jeszcze nie mieli!

Dbał o swoją zabytkową kuźnię, naprawiał, malował. Dumny był, że to stary budynek, z prawdziwej cegły, na glinianej zaprawie, bez cementu budowany.

Gdy w połowie lat 70. majstra nie stało, kuźnia podupadła. Synowie znali rzemiosło, ale pracowali w innych zawodach, nikt nie miał pieniędzy na remontowanie budynku warsztatu. Ściany zaczęły się kruszyć. W. 1982 roku Zarząd Oddziału PTTK „Mamry" w Węgorzewie, Towarzystwo Miłośników Ziemi Węgorzewskiej i Dyrekcja M-GOK wystąpiły do Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w Suwałkach o pomoc w ratowaniu zagrożonego obiektu, deklarując pomoc społeczną przy pracach projektowych i budowlanych. Syn zmarłego kowala, Henryk Korzeniewski, pragnął przekazać obiekt komuś, kto zechce doprowadzić budynek do stanu używalności i odpowiednio go zagospodarować. Zwyciężyła koncepcja utrzymania kuźni jako pracowni ginącego rzemiosła, na pokazy i naukę zawodu. Pomysł był dobry, warsztat taki mógłby funkcjonować pod patronatem – i przy pomocy – placówki kultury. Brakowało, jak zawsze, środków, a może zrozumienia i determinacji „odpowiednich czynników". Konserwatorzy zrobili ponownie dokumentację obiektu. Ktoś w gminie zastanawiał się nad możliwością zrobienia w nim świetlicy… Nic nie załatwiono.



10. Rudziszki, dawna kuźnia. Joanna Porębska i Adam Jankiewicz opracowali projekt rewitalizacji kuźni, adaptacji obiektu na punkt obsługi ruchu turystycznego w ramach programu Leader Fundacja „Dziedzictwo nasze", 2007.

Kuźnia bez gospodarza niszczała. W 2007 roku pojawiła się szansa uratowania zabytku. W ramach programu Leader Fundacja „Dziedzictwo nasze" podjęła się inwentaryzacji dziedzictwa kulturowego między innymi gminy Węgorzewo. Realizatorzy zadania: Joanna Porębska i Adam Jankiewicz, opracowali projekt rewitalizacji kuźni, adaptacji obiektu na punkt obsługi ruchu turystycznego. Program był wszechstronnie przemyślany. Miał się tam mieścić komputerowy punkt informacji regionalnej, edukacyjny klub internetowy, sala spotkań dla mieszkańców i gości oraz bufet. W lecie – stoliki od parasolami, obok w namiocie – serwis rowerowy dla obsługi Mazurskiego Traktu Rowerowego. Przyszłemu ośrodkowi nadali nawet stosowną nazwę – „Kuźnica"! Planowany szlak rowerowy miał przebiegać przez Rudziszki, obok kuźni. To była szansa dla całego pasa przygranicznego, bogatego w istniejące jeszcze zabytki architektury i techniki.



11. Rudziszki, ruiny dawnej kuźni. Fot. Krzysztof Grąziewicz, 2022.

W 2010 roku opracowano na zlecenie burmistrza Krzysztofa Piwowarczyka projekt budowlany na rewitalizację i adaptację kuźni. Niestety, samorząd nie zdecydował się na tę inwestycję.

Piszę ten tekst w 2022 roku. Oranżeria/kuźnia praktycznie nie istnieje. Stoją jeszcze w chaszczach dolne fragmenty oktagonalnego budyneczku, wokół gruz i śmiecie. Tuż obok zabytki zagospodarowane, należące do zespołu pałacowego: sam pałac, w którym mieści się Zakład Opiekuńczo-Leczniczy Psychiatryczny, budynki gospodarcze, park w stylu angielskim. Trakt rowerowy już nie biegnie przez wieś. Koncepcja realizatorów – lub sponsorów – zmieniła się; trasa omija pogranicze, biegnie na wysokości Węgorzewa do Gołdapi.

Kapliczka w Kalu



12. Kal, kapliczka. Fot. Barbara Grąziewicz, lata 70. XX wieku.

To jedna z najstarszych istniejących budowli w Krainie Wielkich Jezior. Czas jej powstania ginie w pomroce dziejów. Dawni kronikarze i dzisiejsi historycy mają różne zdania na ten temat, niektóre źródła pisane dały asumpt do powstania legend, które dzisiaj żyją własnym życiem. Kasper Henneberger i Wincenty Barfus datują obiekt na rok 1564, inni na koniec XIV lub początek XV wieku, kiedy osiedlała się tu ludność z Mazowsza. Kształt budowli – czworograniasty słup z niszami – nawiązuje do tradycji katolickich kapliczek stawianych jako dziękczynienie za cud lub pokuta za grzechy. Przydrożne krzyże i kapliczki zwyczajowo nazywano „bożą męką" – w niszach stawiano figurki świętych lub malowano ich wizerunki. Źródła historyczne podają – między innymi Hermann Braun – że w tej kapliczce był wizerunek (wizerunki?) Matki Bożej.

Po sekularyzacji Prus malowidła zatynkowano, ponieważ protestantyzm nie uznaje kultu świętych obrazów. W białych blendach umieszczono opis niejasnego do końca tragicznego wydarzenia, które miało miejsce w pobliżu, dla podniesienia morale parafian. W tamtym czasie osiedlały się tu i współistniały różne ludy: resztki Prusów, Litwini, Niemcy, a najwięcej polskich osadników z Mazowsza. Ci ostatni wyznawali wiarę katolicką, ale przez nią przebijały się echa niezapomnianej jeszcze pogańskiej obrzędowości, podobnie było z Litwinami i Prusami. To było nie lada wyzwanie dla chrześcijańskich duszpasterzy. Czterojęzyczny napis w niszach dawnej kapliczki, którą niemieccy kronikarze i badacze nazywali „słupem" lub „murem kalskim", świadczy wymownie zarówno o wieloetniczności terenu, jak i o problemach natury duchowej miejscowego duchowieństwa. Istniały różne legendy związane z tym obiektem, ale dramatyczna historia czterech osób ukaranych przez niebiosa za rozpustę robiła największe wrażenie i znana była w całym Księstwie Pruskim. Pierwotny napis – opracowany ponoć przez pierwszego węgorzewskiego proboszcza Barfusa – nakazywał ochronę tego miejsca pamięci. Przez ponad 400 lat kolejne pokolenia miejscowej ludności dbały o ten obiekt, naprawiając go w razie potrzeby. W 1912 roku, w miarę postępującej germanizacji poddanych króla pruskiego, zatynkowano napisy polski i litewski. Z czasem wokół kapliczki stojącej na niewielkim pagórku powstał niewielki cmentarz. Istniał jeszcze po II wojnie światowej, zadbany, ukwiecony, z metalowym ogrodzeniem. Było to urokliwe miejsce. Do kapliczki ocienionej starymi drzewami wiodła szeroka alejka. Słońce i ptaki… Niestety, jak większość węgorzewskich nekropolii i ta stała się pastwą barbarzyńców. Płyty nagrobne rozszabrowano, fragmenty żelaznego ogrodzenia ozdobiły prywatne posesje. Można je jeszcze dzisiaj oglądać. W latach 70. ubiegłego wieku kapliczka była mocno uszkodzona. W dolnej części cokołu ział wielki otwór. Widocznie ktoś szukał skarbów (jedna z legend wspominała o zakopanym rycerskim skarbie). Kopanie musiało być trudne, bo trzpień graniastej budowli wykonano z kamieni polnych i oblicowano cegłami. Zabytek zarastał chaszczami. Członkowie klubu „Tropieńce" postanowili go uratować. Mieliśmy w grupie murarza, Tadeusza Burbę ze Stręgielka, kilku dzielnych chłopaków i konieczną dla sprawy determinację. Wiosną 1971 roku, zaopatrzeni w odpowiednie narzędzia, wybraliśmy się na kalski cmentarz. Trzeba było zrobić dostęp do „naszej" kapliczki. Po wyrąbaniu krzewów chłopcy wzięli się za murowanie, a dziewczęta oczyściły placyk wokół i dawną ścieżkę. Napisy we wnękach były tylko z dwu stron: łaciński i niemiecki. Mało czytelne, tynk miejscami poodpadał, farba wyblakła. Chcieliśmy odtworzyć te napisy, ale dla początkujących „naprawiaczy" to było niełatwe zadanie. Musieliśmy się do tej akcji przygotować.

Gdy poszliśmy na cmentarz następnym razem, oniemieliśmy! Napis w języku niemieckim był pięknie odnowiony! Zaczęliśmy snuć jakieś „teorie spiskowe"…

Rozmawialiśmy o tym w Domu Kultury. Niespodziewanie rzecz się wyjaśniła. Otóż na spotkania klubowe przychodziła pani Hildegarda Nowińska, żona nauczyciela Zakładu Wychowawczego. Oboje znali niemiecki, on umiał fachowo wziąć się do pracy. Pytanie: dlaczego to zrobili?

Pani Hildegarda była Warmiaczką. Prawdziwą. Pochodziła z Leszna pod Olsztynem, mówiła równie dobrze po polsku i po niemiecku. Opowiadała o zwyczajach bożonarodzeniowych i noworocznych w jej wiosce, o pieczeniu nowolatek[3].

Miała liczne rodzeństwo. Dwóch jej braci wcielono do Wehrmachtu. Ktoś doniósł, że w domu ich ojca przed wojną działała szkoła polska. Braci skazano na śmierć, ale pozwolono im pojechać do domu, by pożegnali się z rodziną, po czym wyrok wykonano.

– Mogli nie wrócić. Dlaczego nie uciekli?!
– Bo wtedy zabito by całą rodzinę.

Nie zapytałam wówczas, dlaczego poprawiała ten napis, nie umiałam. A potem jakoś nie było okazji, starsza pani przestała przychodzić, kontakt się urwał. Dziś chyba rozumiem dlaczego. Już nie ma kogo zapytać…

Po jakimś czasie historia się powtórzyła, wandale podziurawili kilkusetletnią murowaną pamiątkę. Kolejne krzyże zniknęły z cmentarza.

Na początku lat 90., gdy już funkcjonowało państwowe Muzeum Kultury Ludowej, zajęliśmy się remontem zdewastowanego obiektu. Burmistrz Bolesław Kanownik pokrył koszty naprawy, a wykonawcą był doświadczony majster z Kolonii Rybackiej Henryk Warowny. Zrobił jak należy: zamurował ubytki, otynkował wnęki, naprawił parapety okapowe, starą czapę betonową skuł i zrobił nową, odkopał i poprawił fundamenty. Zajął się też otoczeniem kapliczki: wyciął porosłe krzewy, kruszywem wyrównał dojście.

Losem niezwykłej historycznej budowli interesowali się także dawni mieszkańcy Kalu zrzeszeni w Kreisgemeinschaft Angerburg. Na łamach prasy regionalnej upominali się o pamięć i pomoc dla owianej legendami „kalskiej kolumny", byli wśród nich: Frida Busch, H.J. Moritz, Gerhardt Freundt, Günther Kuhn, Norbert Skowron. O wszczęcie działań renowacyjnych zabiegali Fritz Schwarz i Erwin Krokowski.

3 Ciasteczka z mąki pytlowej i wody, o kształtach antropomorficznych lub zwierzęcych, przygotowywane w ostatni dzień roku. Przypisywano im właściwości wzmacniające i uzdrawiające. Nazwa pochodzi od określenia Nowe Lato, czyli Nowy Rok. [przyp. red.]

Kolejne prace przy zabytku wykonano w 2007 roku. Zajęło się nimi Towarzystwo Ratowania Dziedzictwa Kulturowego Kresów Dawnych i Obecnych „Ojcowizna", działające przy Muzeum Kultury Ludowej. W półokrągło sklepionych niszach umieszczono tablice, na których opisano w czterech językach – polskim, litewskim, niemieckim i po łacinie – legendę o tragedii, jaka miała się zdarzyć w owym miejscu w XVI wieku. Główne koszty renowacji pokrył Wojewódzki Konserwator Zabytków w Olsztynie, tablicę niemieckojęzyczną ufundowało Keisgemeinschaft Angerburg w Rotenburgu (prezesem był wówczas Kurt-Werner Sadowski), litewskojęzyczną Konsulat Litewski w Polsce, tablicę z tekstem polskim sfinansował burmistrz Węgorzewa Krzysztof Piwowarczyk, a „łacińską" starosta węgorzewski Jerzy Litwinienko W uroczystości odsłonięcia tablic, która odbyła się 18 maja 2007 roku, uczestniczyli przedstawiciele mecenasów przedsięwzięcia oraz realizatorów, których reprezentował archeolog Marek Jerzy Łapo.

[Powyższy tekst jest fragmentem przygotowywanej do druku publikacji „Ludzie z tej i nie z tej ziemi", o tych, którzy przyczynili się do ochrony, upamiętnienia lub pomnożenia dziedzictwa kulturowego regionu i godni są szacunku i serdecznej pamięci.]

Barbara Grąziewicz-Chludzińska

Barbara Grąziewicz-Chludzińska, *pracownik kultury, etnograf, muzealnik, dokumentalistka; założycielka Muzeum Kultury Ludowej i Parku Etnograficznego w Węgorzewie (w latach 1991–2003 dyrektor tej placówki) oraz społecznego Muzeum Tradycji Kolejowej (od 2007). Współzałożycielka i była wieloletnia prezes Fundacji „Dziedzictwo nasze" (2004), zajmującej się między innymi popularyzacją i dokumentacją dziedzictwa kulturowego w makroregionie i krajach ościennych.*